

Ona to my

Hanna Baltyn

Kim jest ONA? To Anna Dymna, jedna z najlepszych i najsympatyczniejszych zarazem aktorek średniego pokolenia. A my? To my wszystkie, czyli kobiety, których rozmaite portrety pokazuje na scenie i na ekranie. Lubimy ją i nierzadko z tak ciepłą, miłą, sławną, a jednocześnie „normalną” osobą pragnęłybyśmy się utożsamić.

To zjawisko często towarzyszy uprawianiu artystycznych zawodów. Zwłaszcza aktorskiego, gdzie człowiek istnieje poprzez swą twarz i ciało, to przecież jego podstawowe środki wyrazu, komunikowania się z publicznością. Aktorzy wygrywają konkursy popularności, a jeśli mają talent, szczęście, lub jedno i drugie razem, wciąż ich widać w telewizji, słychać w radiu, a wywiady z nimi co krok spotkać można w prasie. Nic dziwnego, że otrzymują listy, w których wielbiciele deklarują, że pragnęliby być ludźmi na obraz i podobieństwo swoich idoli. Idoli, których można by podzielić na ludzkich, nieludzkich i coś w rodzaju UFO z Hollywood.

Gwiazdorzyc rodzaju trzeciego w ogóle w Polsce nie występują, nie licząc pewnej artystki kina o bogatej wyobraźni, którą chętnie dzieli się za pośrednictwem seks-telefonu.

Rodzaj drugi jest za to licznie reprezentowany. Uważamy, że gwiazdy o ponadludzkich kwalifikacjach mają wszystko nadzwyczajne i w nadmiarze – od talentu i libido począwszy, a na pieniądzech kończąc. Światowe życie pochłania je do tego stopnia, że nawet nie wychodzą na ulicę. Porozumieć się z nimi można za pośrednictwem redaktorów z telewizji i prasy, którzy zresztą też są nadludźcy. Tendencja do izolacji, swoistej gettowości z jednej strony, a z drugiej do wyróżniania się za wszelką cenę coraz bardziej się nasila. Dziś pragmatyka trafiania do raju gwiazd na miarę ponadludzką jest prosta – zaledwie po roku umiarkowanych sukcesów aktorskich, piosenkarskich czy prezenterkich do zasłużonych idoli dochodzą nowe nazwiska ludzi z celuloide, papieru, szkła.

Elżbieta Baniewicz
ANNA DYMNA

: ona to ja. – Warszawa : „Twój Styl”, 1997. – 160 s. : faks., fot., portr. ; 25 cm
791.44.071:792.071:929(438)(084.121)A/Z



Anna Dymna

Gwiazd o ludzkiej twarzy niegdyś było w Polsce wiele; nawet najwięksi aktorzy kina, Cybulski i Kobiela do nich należeli. Nie mówiąc o tak sympatycznych aktorach, kojarzących się raczej z teatrem, jak Irena Kwiatkowska, Danuta Szaflarska, Wiesław Gołas czy Wiesław Michnikowski. Dziś jest to kategoria zstępująca. Bo może dziś, w czasach, które oddaliły się o całe galaktyki od lat siermiężnego socjalizmu, być gwiazdą i normalnym człowiekiem to wysiłek, i kimś takim być po prostu trudno.

Elżbieta Baniewicz, która napisała biografię Dymnej, pierwszemu rozdziałowi dała tytuł *Być aktorką i normalną kobietą*. Zakładając przekornie, że „normalność” to dziś jakiś niezwykły wyróżnik. I może trochę tak jest? Ktoś, kto z przekonaniem respektuje Dekalog, jest uczciwy w życiu i sztuce, nie poświęca uczuć i domu dla mirażu kariery, jest być może *rara avis* w kontekście powszechnego szurczego pędu, imitowanego – na modłę amerykańską czy japońską – pracoholizmu, podporządkowywania wszystkiego dyktatowi starannie, co do szczegółu zaplanowanej kariery.

Autorka książki sytuuje Annę Dymną w najszlachetniejszym nurcie tradycji artystycznej polskiego teatru, kontynuowanej przez dwa pełne stulecia od Wojciecha Bogusławskiego po osiągnięcia Starego Teatru, z którym ta krakowska aktorka była od początku związana. Píše o patosie i etosie gwoili prawdy, choć sama zdaje sobie sprawę, jak dziwnie i niemożliwie to dziś brzmi. I cała ta książka, acz wydana

z niemałą kokieterią formalną przez „Twój Styl” (opracowanie graficzne Andrzeja Barreckiego z „Tentenu”), taka właśnie jest. Nie unika puent, nie boi się rozważań na boku, refleksji ogólnej. Baniewicz chce swą bohaterkę uchwycić z perspektywy szerszej i dalszej niż Kraków anno 1997 i pachnąca ziołami kuchnia na poddaszu. Dlatego wiele tu o domu rodzinnym („Dobre geny wynosi się z domu”), o ludziach kształtujących postawę zawodową młodziutkiej Ani Dzidy (w tym o znacznie starszej aktorce Zofii Jaroszewskiej, która „nauczyła ją rzeczy ogromnie ważnej – jak zachować godność kobiety uprawiając aktorstwo”), o ludziach niezwykłych, dawno umarłych – Konradzie Swinarskim, Wiesławie Dymnym... Szczęciem Elżbieta Baniewicz jest dobrym, rzetelnym i wnikliwym krytykiem, jej uwagi zawsze mają merytoryczny sens. Odróżnia ją to od „plimplanii” reporterek piszących dziś na kopy aktorskie portrety, wczuwających się w „atmosferę i nastrój” za pomocą metaforyki Mniszkówny. Książka o Dymnej jest tym samym dobrym dokumentem wspaniałych lat 70. w polskim teatrze, przemian w stylistyce rodzimej kinematografii, w obyczajowości środowiska. I w dodatku nie odbywa się to niczym kosztem (trochę mi wstyd, że w tej recenzji właśnie się odbywa, ale skojarzenia są silniejsze ode mnie).

Dymna była dzieckiem szczęścia – startowała na początku lat 70., mając przywilej pracować z czołówką naszych reżyserów; obok Swinarskiego byli to Andrzej Wajda i Jerzy Grzegorzewski. Fragment rozważań autorki o tym ostatnim fenomenie chcę tu zacytować jako przykład uwag celnych dla doświadczonego teatromana, ale i trampolinę dla wyobraźni widza, który w takim teatrze nigdy nogi nie postawił.

„Aktorzy w teatrze Grzegorzewskiego nigdy nie istnieją na scenie tak jak w realnym życiu, nie powielają, nie imitują normalnych, potocznych zachowań. Istnieją inaczej. To inaczej rodzi się z konstrukcji przestrzeni scenicznej, która nigdy nie jest imitacją jakiegokolwiek realnej przestrzeni. Jest świadomie wykreowaną przestrzenią teatru przez przywołanie prawdziwych elementów rzeczywistości i umieszczenie ich w specyficznym kontekście. Dzięki nieoczekiwanym zestawieniom zwykle i niecodzienne, ale zawsze prawdziwe przedmioty, meble, sprzęty nabierają nowych znaczeń, pełnią inne funkcje niż w rzeczywistości. Dziwią się sobie nawzajem. (...) ta przestrzeń surrealistyczna (...) buduje klimat oraz atmosferę przedstawień. Grzegorzewski poddaje tylko aktorowi pewne nastroje, podpowiada stany emocjonalne

postaci, aktor musi szukać dalej sam (...) Sposób wyrażenia danego stanu psychicznego, forma, są dla niego najważniejsze”.

Omówione są tu wnikliwie role przełomowe dla osobowości aktorskiej Dymnej: takie jak Nina Zarięzna w *Dziesięciu portretach z czajką w tle* w reżyserii Jerzego Grzegorzewskiego, Nathalie w *Nocy Walpurgi* Jerofiejewa w reżyserii Kazimierza Kutza czy Molly Bowser z *Palca hożego* według Caldwell w reżyserii Teresy Kotlarczyk. Czyta się o nich pasjonująco, bo też z miłością zostały zagrane i opisane. Przy okazji Baniewicz, również autorka książki o Kazimierzu Kutzu, pokazuje, nierzadko przez anegdotę, na czym polega udana współpraca artystyczna. Gdy aparycja eterycznej aktorki zmieniła się dość radykalnie, Kutz był zachwycony: „Nareszcie jesteś kobietą”. Dał jej szansę, poobsadzał w paru prestiżowych rolach i wszyscy przekonali się, że Dymna tym lepsza, im jej więcej. Polsko-enerdowski symbol seksu z czasów radosnego socjalizmu okazał się kobietą z krwi i kości, mądrą, czułą, wyrozumiałą, ale i twardą, umiejącą zawalczyć o swoje.

Bardzo ciekawa książka. Zarówno ze względu na przedmiot, jak i sposób opisu. W dołączonym kalendarium naliczyłam około 140 ról aktorskich Dymnej. Królowa sceny – już nią jest, po tryumfalnym przejeździe po krakowskim Rynku jako Bona podczas jubileuszu Piwnicy Pod Baranami – zagra jeszcze drugie tyle, jestem pewna. Już od dawna nie reżyserzy jej, lecz ona reżyserom dodaje splendoru. Cieszymy się, że dane nam obcować, w tej samej epoce, z tego kalibru artystką. Sama Dymna pragnęłaby utożsamienia z Bułhakowską Małgorzatą – „kobietą zdolną zawrzeć pakt z diabłem, żeby uratować ukochanego mężczyznę i swą największą miłość”. Każda prawdziwa kobieta jest taka: ma w sobie coś z diabła, coś z anioła, a przy tym wielką, wewnętrzną urodę wrażliwej na świat i ludzi duszy.

I na koniec moja własna dygresja. Dziś w krytyce teatralnej, jak w każdym innym zawodzie, panuje kult młodości. Tymczasem choćby książka o Dymnej jest nadto oczywistym dowodem, że pamięć, własne doświadczenie i praktyka są w tej profesji równą bądź większą wartością niż „świeże oko”, które niczego jeszcze nie widziało, niczego nie potrafi zatem umieścić w szeregu synchronicznym – zestawień po to, by wyodrębnić zjawisko. Chcę powiedzieć, że cenię „długą pamięć” i cieszy mnie, że Elżbieta Baniewicz umiała swoją w pełni wykorzystać. □